KAZIMIERZ HOFFMAN

Litera

OSSOLINEUM

A idąc wolniej schodzisz ku wodzie

KAZIMIERZ HOFFMAN

Litera

WROCŁAW · WARSZAWA · KRAKÓW · GDAŃSK
ZAKŁAD NARODOWY IM. OSSOLIŃSKICH
WYDAWNICTWO
1977

Świadek

Trzeciego, rankiem, poszliśmy na polanę modulowaną
wspaniale pasmami ciszy to znowu rozświetleń
plątanych w pośpiechu przez tuzin co najmniej
tych tkaczy w powietrzu, tak licznych zawsze pośród
listowia i długich źdźbeł
o gładkiej bardzo, to znowu szorstkiej co nieco
powierzchni —
podobnej w dotyku do rąk, do dłoni dziadka Jakubowego
Aarona, kiedy zmęczony drobieniem między wyniosłościami
lasu,
kładzie się na brzegu polany,
nakrywa spokojem
i śpi. Dzięcioł wydłubał nam flet mikro-
skopijny w gałęzi zasuszonego jawora. Dmuchnąłem i
poczułem się lepiej. Można było zaczynać wszystko niemal
od początku

I wtedy ktoś krzyknął że słyszy kroki

— — —

— Znałeś go?
— znałem. Niewiele pisał. Z wielkim wzrokiem sowy jak u końca świata
chodził powoli po naszych ulicach.

Okładkę projektował
Roman Kowalik

Redaktor
Bogumiła Andrzejewska

Redaktor techniczny
Aleksandra Ikonomu

* * *

Z Berta Moebego

Pola konwaliowe

. . . . . .

listki, co w Aix z fontann próbują wyrosnąć!

ludzie zdejmują ciężkie motory
i stoją tu boso.

Chowanki

Wyspa Bienne

napisałbym książkę o każdej trawie łąk...
(Przechadzka piąta)

Po spokojnej nocy —

owinąwszy gardło szalem przed lekkim chłodem wyczuwanym od strony gór,

w bogactwie ziół rozmaitych uwalniając się od myśli,
że do końca już pewnie nie zdoła wyplenić
nieszczęsnej skłonności do zaspokajania siebie
przez siebie samego —

mógłby w spokoju rozpocząć nareszcie
obserwowanie budowy i ustroju roślin
i roli narządów płciowych w owocowaniu,
którego system był dotąd dla niego czymś
nieznanym,

gdyby nie
cebulomdły (rycynowaty) smród olejów pędnych
jakiejś Armii, która
przecięła ten w ciszy wielkiej stojący świat,

w ciszy z bezmiaru nieba,
traw,

wczesnym rankiem tego dnia,
w marszu do Môtiers bodajże albo i Azji
czy też

i spostrzega w górze
błękitniejący do cna jak płytka lodu w strumieniu
księżyc.

* * *

Około południa wychodzi zza horyzontu;
mimowolny zrazu, utrwala się. Jest. Nie chowa już bieli,
utwierdza ją.

Po kilku kwadransach
podsuwa nam siebie: promienną pięść
z tym jakby: „Popatrz, czym jestem, z podziwu
zagwiżdż”
Ale od przodu bije coś niby mróz, znieczula całą twarz
i nie można, nie można
złożyć warg;

szklisz się niemy, porażony bielą:
jest wielka

Scott lubił te zagadkowe okręty.

Widok z redy

I być może, iż jego znaczenie polega właśnie na tym
świetlistym trwaniu w żarze południowym,
ale to nie jest pewne. Czuje się (boli aż) coś
jak gest odepchnięcia;

dlatego stoimy w milczeniu, w miejscu. Te znaki
(napis) z niewyjaśnioną jak Bóg sentencją, te
znaki (cyfry jakby)
cięte
przez wiatry i przez sól!

i żar, tak: słychać
chrzęst
obsypującej się stale ochry;

skąd —
dokąd ten świat?

wołam głośniej

Zostaw — mówią — to
puste miasto

oglądam się do tyłu: nic tylko morze.

Steichen

Na białej płycie rozchwiana plama cień Podrywasz głowę
i widzisz c z e r ń motyla białego pod samym słońcem

obiektyw rzecz chwyta po
ruchu palcem

późno; stulecie po tym, co było
przed chwilą

*

— a przecież był szybki. I jak nikt inny zdolny
uchwycić na kliszy ciemnej Bóstwo Wyrok Ogień Babilon

Głos przywołujący stary motyw

łapiemy z zewnątrz. Wszelkie zamknięcie odbiera nam
widok,
kroplę
i tlen

posłuchaj: twierdzenie, że
to, z czego najpierw ciągnąć powinien utwór,
znajduje się „w"
jest mową profesorów o krótko brzmiącym
nazwisku (...) Przypomina mi się scena,
ostatni wykład przed Mobilizacją, gdy jeden z tych blondynów, oparty o pulpit, w krawacie
w zimny fiolet,
otwierał wciąż, zamykał stale
śliniąc kartki palcem;

Zgarnąłem skrypty
i poszedłem za miasto.

Uderza mnie umiar
posłyszanego niegdyś zdania: drzewa można dotknąć

bierzemy z zewnątrz. I
pojedynczo. Drzewo w przestrzeni;

proste związki: dwa albo i cztery klony,
nie wydeptaną jeszcze po wzgórza trawę, po której idzie
człowiek z kozą, przystaje na chwilę, oddaje mocz
i rusza dalej, wchłonięty po chwili, jak każde nasienie,
w świetliste tło;
tyle jedynie. Ostatnia po nim kro-
pla na rumianku niech starczy za całą przyczynę poematu.
...

ktoś targa mnie za ramię, otwieram oczy
i
słyszę motory. Za chwilę mamy ruszyć. Jak zwierzę czuję:
pójdziemy w głąb.

Człowiek z Portsmouth

I kiedy wreszcie ma określić: co, jego zdaniem, w tym oto
przypadku, daje Gwarancję —

on, uprzedzający jakikolwiek wybieg tego
monstrualnego cielska, jeden z najlepszych w swoim fachu,
boss
— opuszcza głowę. Jedno bowiem zaledwie
jest pewne: tępa
rotacja: Kolejny Numer Losu,
z którym odchodzi pod wodę każdy ze stworzonych
tu Kolosów.

Bywał na dole. Jak żaden inny wie doskonale:
próbą kiwania natury jest cała rutyna fachowców —
komisje nadzoru,
lekkie pogwizdy techników, spokój Wiceadmirała
kierującego budową. Usiłowaniem jedynie. Bo
ciągle ma jeszcze przewagę zewnętrzna
konieczność. Jest tego pewien. Zupełnie. Powoli
opada mgła i widać znowu morze... Z zimną równiną w
oczach
wraca do swego domu na przedpolach Portsmouth.

Jak nazwać ów stan:
odruch? ironia? przeczucie zniszczenia? zdrowy rozsądek?

przypomina mi się owa zagadkowa postać,
ten sam typ —
w wieku nieokreślonym, milczący,
z sięgającym gdzieś hen po Alaskę wzrokiem,
zauważony już kiedyś na *Titaniku*, kiedy
w opustoszałym naraz głównym salonie wpatrywał się
uważnie w złocony zegar na bardzo pięknym, robionym
pod barok kominku, ześlizgujący się, cal po calu, ku
drugiej stronie.

Portsmouth — stocznia, w której wodowano „Threshera".

Sollers

— Zbyt wiele na raz.
— Lecz instynkt wybiera. Szuka jednego. Zaś to,
na co trafia raptem, bywa *tak czyste jak*
promień na niebie i winno być wzięte
ten tekst się potwierdza. Przykład:

pracownia. Ruchy częsteczek. Równania
z dźwięków. Trójlistny instrument w wąskich
palcach... sen? Nagłe wzruszenie. I
oto co widzi wewnętrzne oko:
niezaprzeczalne ruchy
(poprzeczne) światła
w czystej próżni, w wolnym eterze!
— Elementarne lśnienie?
— Tak, zacznij wiersz.

Ten typ rozmowy wyśmiewa w duchu Phillipe Sollers.
Stoi przy oknie: widzi mgłę. I słychać morze.

* * *

Z Tomasza Crosby'ego

A potem las podchodzi blisko i wszystko jak Makbet
trzeszczy

dygoce drobno w igłach i w listkach dopóki czerwieni
rudej
płomieni z nieba nie zdmuchnie wiatr
i nie ustanie

Ale napięcie trwać będzie jeszcze przez długi czas
serce wciąż spieszy i ptaki kreślą czarne inicjały
jednym błyskiem.

W Giarre

— Odchyliwszy gałąź ujrzałeś pęknięcie
w czym tkwi przyczyna
— W słabości
— Nie
— W żelazie
— Nie zgaduj. W spłynięciu wód: podskórnych wód
do pachwin rzeki.
Oto następstwa ciągnięcia kolektora
tak mówią tu architekci
i milkną. Zresztą ci drudzy z Giarre, ci z dołu,
tłumaczą rzecz całą
dokładniej: obsuwaniem się piasku,
popłochem kryształów i pokryw zaschniętych (od kiedy
skąd) żuków — pod korzeniami
trifolium i domu. Ta cała dzielnica hen stoi na piaskach
lotnych, dodają. Zapada cisza. Bo cały nasz świat
stoi na piaskach, to szepnął ktoś z boku

jest parno. Zadarłszy głowy
spoglądamy na Etnę

Kwiat

Przebity bok wypuszcza kwiat

ale to krew. „Czy chciał oszukać?
On doznał tylko. Mówimy sztuka".

Prowadzony

tak, aby być trochę. Dlatego idą
wolniej; słychać szmer liści, kobieta milczy

jest zamyślona. Dzień mieli dobry raczej;
przez całą łąkę płynął strumień,
na jego dnie leżało światło. A potem jeszcze
ujrzeli miejsce, gdzie z wielu przedmiotów (po dwa,
po cztery) spamiętała jeden:
ostrze z metalu,
ślad Gotów z północy, przemykających dołem
tamtego wzgórza; tak im powiedziano. (...) I

kiedy to było? Zapewne
rzecz jest bardzo cenna. Droga skręca teraz, opada
łagodnie,

zapach dymu, palonych łodyg, nagły
od pól
czeka tam,
gdzie byli wczoraj.

Mężczyzna przystanął. Czuje lekkie zdrętwienie ręki
lewej. „Usiądź na chwilę. I nie mów" jej głos

otwiera jego oczy: ściemniało. Już wieczór
i czuje się chłód od ziemi.

* * *

Obiecał: przetrwam. A teraz
wierzę

jakieś wielkie miłosierdzie uderza przed siebie
i
łamie ciemność: widzę — jak góry w rosach — widok
na równinę!

obracam się wkoło

bezkształtne światło ogarnia mnie zewsząd
i oszczędza.

W drodze do Matarieh

A pod koniec tego wieczoru ujrzeli stare drzewo sykomory,
dobre by spocząć pod nim;

nie można było. Milczący człowiek z gospody przydrożnej
jak szakal spoglądał i mógł o nich donieść
wykręcając chyłkiem ten numer... Kluczyli nocą przez trzy
czy cztery dni

zbudziła Go cisza, był ranek. Obraz jest
jak ze snu:
cienisty parów,
szczyt skały na prawo wysoko świecił,
jakieś zwierzęta kroczyły im naprzeciw

„tu nas nie znajdą, nakarm go, Mario" cicho mówi
mężczyzna
i siada na piasku.

Japońskie stolarstwo

Martwe drzewo próchnieje i grzebie je ziemia,
więc jeśli zdążymy je kupić, będzie miało
powtórne życie
tak mówi Nakashima. Wnętrze jego pracowni
jest proste: jest złote; wypełnia je zapach
drzewa kejaki; u stropu świergot wyraźny: to ptaki.
Jego stoły, jego ławy są ciemne: są
mocne.

Usłyszane w Gruzji

Pola w blasku. Gaje w cieniach.
I proste piękno tego przeczenia:

„Założyć by tu miasto"
„chodź, niech będzie syn"

Mann. Późna nowela

Suka
w kobiecie
ma coś z delikatnego ptaka,
który krwawi

uwznioślił, to prawda. Potem w każdym z nas obudził
wspomnienie; pokory. Całowania tej rany.

same są. Do końca pozostawione sobie
z tym krwawieniem.

Wobec stałego, choć niepochwytnego wpierw: *jak mgła*,
rozpadu tkanki,
ich próbę osiągnięcia szczęścia i
trwałości,
maski użyte w tym celu, grę, ich instynk-
towne chwyty
określić trzeba nazwą: A m o r b o l e ś c i w y,

podobnie jak książki pisane przez nie albo ich
malarstwo.
Widziałem jeden z nowych obrazów Joanny W;
był to portret; w czerni: postać Pozującej
przypominała z n ó w tę z późnej noweli Tomasza Manna
olśnioną młodym mężczyzną kobietę
już po przekwitnięciu, która pewnego dnia
spostrzega: krwawi. I sądzi, że to z cudownej odnowy
swej kobiecości,
i nie zna jeszcze prawdziwej przyczyny,
bo lekarz milczy;

ten obraz był dziwny. Cofając się przed nim
wróciłem do domu. I chociaż za oknem prószył śnieg,
nie mogłem zasnąć;

słyszałem oddech żony leżącej obok mnie
z otwartymi oczami

 i biło mi serce.

Eco

Spłonione światło: różany śnieg
jak ze snu

i
wszystko
jakby zatarte lekko, bowiem

w malarstwie zenu
plama
ma przewagę nad kreską,

obłok, góra i człowiek
mieszają się z tłem.

A jednak ta przestrzeń jest
samą symetrią,

ten obraz: to
dźwięk,
który widzimy

Na nowo

— A oto drzewo, o którym śniłem wiele lat temu
nie wiedząc o tym, że istnieje
i że je ujrzę —
przez ogień tknięte (przez piorun chyba)
z jamą pośrodku...

— Co do mnie, w i d z ę po prostu i
po raz pierwszy. Na przykład: obłok. Dla jego ujrzenia
jestem cały stworzony na nowo, w tej właśnie chwili,
kiedy on płynie...

albo i trawa;

rzeczy mnie cieszą. Jak owad ślinię, a potem pokrywam.

Na miejscu otwartym

Ale kiedy ujrzał dwóch mężczyzn o zatartych rysach
twarzy,
którzy przyspieszyli kroku, aby przeciąć mu drogę, przypomniał sobie, jakby na ironię, pewien gatunek
chrząszcza.

W momencie,
gdy leży na grzbiecie,
igłowaty wyrostek na przedpiersiu
nagle podnosi się, ześlizguje w wyżłobieniu
na przedniej ściance karminowoczerwonego
pancerzyka
i
wyrzuca chrząszcza wysoko w górę. Ten podkurcza nogi, spada z rośliny w niższe jej partie
i tam znika.

Stukanie

jest noc, i jak zawsze napełnia go lękiem
zamknął oczy. Słyszy znowu zegar śmierci
stukanie kołatkowatych w starym drewnie.

Nie bierze tego za przykład ruchu równie zwykły,
co trzask gałązki buka pod stopą
drwala spod Cierpic, albo i

trzciniak,
kiedy sporządza kliny, hak i węzeł dla umocnienia
gniazda na wietrze!

nie. Jest mu zimno i szuka zapałek.

Benn

Cała wiedza tkwi w uchu. Trwały nawyk niemyślenia
o dacie,

w której owa chwila nas znajdzie (...) Przesuwanie się
oka od
punktu A do
F i — momentalnie — do C; przemyślność (mimo obezwładniającego, jak sądzimy wciąż, strachu) w sposobie kurczenia się za biurkiem, za książką, wiązanką stokrotek,
kierownicą
rajdowego samochodu. Wszystko ważne, zgoda,
przede wszystkim jednak

cała wiedza tkwi w uchu. Grzmot kropli z kranu
domowego. Trzask niespodziany piórka
na szybie altany. Kropki (szmery)
nad głowami. Na dachu. Właśnie to. Sklasyfikowaliśmy
wszystko
i rozróżniamy bez błędu. Trafna robota. Jeśli wierzyć
w sprawiedliwość,
to poznają się, ach uwierzy w to,
na naszych intencjach. Ostatecznie: szło nam o możliwie
jak najdłuższe uchowanie się zwierzęcia.

Ciekawi mnie jednak co innego —

Die Krone der Schöpfung, das Schwein, der Mensch
— rzucił nam Benn, po czym wrócił do ziemi. Napisał jak
potrafił, a potrafił tak wiele. Doświadczony poeta,
otwierał klatki piersiowe długim,
zimnym nożem
i kładł w nie astry. To się ciągnęło. Przez długie lata
odziany w swój biały kitel, nie odchodził od stołu... Było
duszno. Podążaliśmy do wyjść. Reflektor bez przerwy
świecił.

— Czy napisał jak wierzył? P o z a sceną?
Ta ostrożność, te pytania nie znanej nam wciąż jeszcze
poezji.

Na drzewo

fruwajmy ptacy! To stoi bez kory

zaś drudzy milczą. Wspomnienia,
odwracające się głowy

skąd światłem biegło: tylko piony.

* * *

wygładziła fale, by mógł wejść
między Feaków

dużo żeglował; i wojował lata. Poznał zło i prawdę. Teraz
mieszka tutaj. Zaś to, co zostało mu z całej Podróży, to
zimne
spojrzenie,
które bywa inne w jednym tylko przypadku:
gdy patrzy na błyski tej ogromnej wody, co świeci
zza drzew...
poza tym milczy. A wchodząc po schodach
przystaje na nich długo: usta ma otwarte, zamyka je,
otwiera... Niech odpocznie zatem. Miejsca ni strawy
tu nam nie zabraknie (...) I wyniosą razem; porównał nas
w końcu jeden wieczny ruch;

słychać głos
kukułki,
jakby nie z tych lasów
dla niego liczy
i dla nas liczy

równo. Przez pół.

Ruszczyc

— Dolina.
— Czy tylko?
— Ziemia.

— Ziemia. Popatrz: te pola
wieczne na tamtym wzniesieniu
pod nami
są moment ledwie. Oddech. Wznoszą się dalej.
Ich ruch to skoki o zgoła i n n e j skali, powiedziałby Igrek.
Ale można prościej.
— Pola...
— ... Obłoki.

Okop

Piachy, wrzosy (chłód) stoimy. Ponoć dobrze w takiej
chwili
obrać sobie coś w przestrzeni, mieć ten
szczegół. Masz coś?

Mam: lekką szarą rzecz: skowronka —
Gniazdo swoje ma na ziemi,
śpiewa dużo cały dzień,
powiększony na niebiosach
szybkim bardzo skrzydłowaniem
przypominam sobie skądsiś: z książki, z Boga czy od łąki...
Ale czas już. „Teraz będzie" mówi major, a więc ślepy czas
nadchodzi.
Chowaj się, Ty, wołam z dołu
i kryjemy się pospołu — on pod niebem, ja pod ziemią,
przysypany jego śpiewem (dodatkowo maskowany)

. . . . . .

już go potem nie ujrzałem, kiedy płomień się odwinął.

Chowanki

ku drzewu dążąc;

w ciszy, tak;

wytrącony z lotu, odchodzi w bok i opada

tu; spójrz: ta

porzucona szarość z drobiną krwi na
końcu dzioba,

cień, sam róg balkonu. Wybiegamy po wodę w naparstku,
wracamy,

to miejsce jest puste. Ich delikatność
przeraża. Umierają jak my, ale ich ciał nie można znaleźć

Litera

I

Wydmy

...plaże tego lądu, wydmy, tak, wydmy w słońcu; i wielkie dale ciszy z cienia od obłoków ...

A przecież to piękno nie stanowi tu
nic.

A to,
co nadaje dziwną wyniosłość temu wybrzeżu, to
przeszłość, złom: leżące w piasku zużyte
produkty.

Te stare przedmioty: beczka po ropie,
przeżarty solą pręt,
biel (szarość) cyfry na resztkach poszycia barki
desantowej

odkształcają widzenie. Patrząc na nie
myśli się długo o pracy u ognia. Woda,
co wpływa w kreśloną palcem na piasku
linię,
wypełnia ją czarno jak
żylna krew.

Wraca wspomnienie ciężkiego lądowania,
próby przetrwania,
braku wody.

Z Południa

Ich odejście nie musiało być nagłe.

Nienaruszony dotąd układ rzeczy
świadczy o spokojnym postanowieniu. Umiar
klarowność, po dalekie wzgórze
na północy

nie odda tego rzeźba z akrylu ani
cyfra

To odejście nie musiało być nagłe,

chociaż kilka znaków na łupkach,
na piasku
przeczy temu, wydaje się przeczyć

pozostał ślad. Pozostał jakby odblask
narzędzia

i ślad
stromej czyjejś stopy, przebiegającej coś
co — w nagłym zbliżeniu — przywodzi na myśl

magmę. Nieruchomą teraz; w Torre del Greco.

* * *

Wspaniała zieleń, ciężka od
czerni; lecz zanim wejdzie w nią,

zwleka;

niby koń biały na wzgórzu, rozrzewnia go
pamięć cichego dnia z minionej jesieni.
A dzień się już chyli

ku zachodowi wolno. Czy jest samotny?
lubię ten spokój — powiada (komu?)

obmywa kamień nagrobny swej matki,
przez chwilę widzi wielkie obłoki
stojące nad lasem obok i wraca do domu.

To, co zapisze potem (zapisze krótko),
oddaje stan,
jaki niekiedy można odczuć: piszemy o sobie
dla tych, których kochamy

forma jest sucha. *Pęka przez to,*
roni kroplę

Powiedzieć

chciał mi powiedzieć coś
koniecznie. Ale z tego miejsca w twarzy,
w którym niegdyś błysnęły zęby i poruszał się
giętki język,
teraz doszło mnie ledwo: ky . . . ,
a potem: hy . . .
i tak parokrotnie.
Były to dźwięki i n n e j już mowy? Chciałem to
chwycić. Koniecznie.

Świetlisty metal w kształcie delty
przeciągnął niebem
wlokąc za sobą wielki grom

— — —

zamknąłem mu oczy. Boże, myślałem, jak go ten świat
nie dostrzega. Zupełnie.

Fotografia mężczyzny z mikroskopem

Holmberg. Z baczkami. W fartuchu białym. Dokonał
odkrycia,
ważnej korekty. Spogląda w mikroskop. Szwed. To o nim
pisał Guido Gerosa, łącząc z *Bo Holmberg* słowo
polipeptyd (...) Na zdjęciu widać okno:
ciemne
cyfry
drzew; niżej —
postać kobiety.

*

Wpółleżąc, czuje:

zauważone przed paroma dniami
ziarenko
tkwi pod skórą w tym samym dokładnie miejscu,
nieco powyżej sutki. Dlatego za—

pewne fioletowa dziwnie, przechodząca w szarość mgła
zasnuwa jej teraz
ostrą bardzo (niby gwizd!) o tej porze września
zieleń w Vällingby . . .
Nie, dzień ją nie ucieszy
i po raz pierwszy chyba
nie powie po wejściu (przez zieleń) do domu, stłu-
mionym głosem do telefonu: przyjedź zaraz, jestem sama.

Coś się wykańcza i coś się zaczyna,
tyle wie tylko.

Ogród jest wielki, kołysze jej ciało, ale ją męczy
jak wszystko inne tego dnia. Odsuwa swoje ciało,
odsuwa ogród;
po raz wtóry dotyka piersi,
na której promień słońca, przepuszczony przez oczko
w ciemnej płytce liścia,
rozświetlił nieznany oto, spłoniony lekko
punkt
o własnym jak gdyby sercu: w ł a s n y m tętnie

Forma przestrzenna

mam stać; nic więcej. Tu i tam drobny ślad ognia
jak pazur

bucik szal lusterko

postawiono mnie na środku
tego krajobrazu

mam stać. Mam twarz pękniętą od jego milczenia.

Głowa

Z wiedzą o rozpadaniu się pysznych miast i to,
że giną, budował Frederick Kiesler swego *Dawida;*

był w formie i rzeźba jest dwoista.
Oto łagodnie lśnią: wygięta w śniadym metalu dłoń,
dłoń h a r f i s t y
i
drobna, skręcona nieco, jak w przyciasnym
lakierku, stopa. Oba szczegóły wydają się być zresztą
muzyką
dla uśpienia oglądających

i są piękne;

stójmy chwilę jeszcze. A jednak
cel całego zamysłu jest zgoła inny, choć Kiesler,
jak wiemy już, myli uwagę. Zdradza go nam
od początku samego wielki wektor owej kompozycji —
nienaruszona w swej jedności głowa:
zwięzła,
w kwadracie, z podwojoną
szczęką. Oko —
okrutne ptasie oko
pogardzanej rasy, które zaczęło, widać to wyraźnie,
kombinować.

Z łąki

W odwrocie, w próbie przedarcia się,
z ruiną po prawej twojej stronie, ruiną miasta jakiegoś
czy lądu —
nie opuszcza nas myśl: a jednak
podszedł nas. Po cichu. Od strony Jungfrau. Podciągnął
sprzęt
ustawił go wkoło

wokoło łąki

Manson. Teatr

Chrystus był łagodny
Chrystus zagryzał wargi. Ta prawda jedna w dwóch

sądach ro-
zbieżnych, te zdania o człowieku
który umarł za Tyberiusza, a wciąż nie schodzi nam z
drogi
podniecają współczesnych.
Opowiadać o raju napotkanym biedakom
i mówić „mijaj" szalonemu światu. Pozornie wydaje się
być to
do zrobienia;

tak sądził Manson

i spaczył. Struktura jego gminy przypomina wysy-
pisko. Tym, co pozwala ujrzeć rzecz całą
dokładniej jest
chwyt, nie, s p o s ó b w jaki ustawia cały Plan
tego co robi

— — —

na wprost są drzwi; i wciąż trwa cisza. Szmer. Ktoś
kaszle jakby. Cisza
wreszcie: „zostawcie mi dziecko" to
Sharon Tate;
pauza. Agonia. Cała scena
chwieje się długo w blasku świec
wniesionych do wnętrza przez czworo zabójców . . .

Manson po prostu robi t e a t r. Wprowadza do gry
te wszystkie rzeczy,
których się lękał prosty Jezus: figury, nastrój
cały ten teatr w modnym wydaniu

*

Ostatecznie sprawa kończy się tak, jak było do
przewidzenia: bez Krzyża i
Chwały w San Quentin.

*

Ten szczegół:
. . . zdradzają go modne, dłu-
gie bardzo włosy, przycięte drzwiami ściennej szafy
na rancho Barkera, kiedy (tropiony) kuli się za nimi

zapominając o tym,
że po nitce zwierzęcego zapachu i tak dopadną kłębka
inne zwierzęta —

diabelnie chwytne.

* * *

Atakowany jednocześnie przez trzy,
cztery mrówki granatowo—czarno—połyskliwy
żuk leśny
staje, kryje czułkami skorupę głowy
i jakby Sens pchał go dla przekory tylko,
idzie dalej
w stronę mrowiska. Przez chwilę widać go jeszcze,
znika . . . Miarowy ruch rzeczy trwa dalej. Myślę,
że te sprawy
bywają niekiedy niby hymn,
jak moment topienia całego kontynentu przez morze
spiętrzone wysoko niby góry

i jak pauza po tym

. . .

jest cicho, las oddycha w spokoju, pełno tu również
poziomek.

II

Przez moment

1

nie pojadą dalej. Leżą w wilgnym chłodzie zielonej bardzo
trawy,
przy niskim wozie w kobalt,
u drogi do złotej, jak mówią tu, Uppsali;
Szwed się oddalił
i są wreszcie sami.

2

— — —

widzą coraz mocniej. Przybyli wczoraj;
przeszli szare morze,
kluczyli w szarej skale, by zapaść w t a k ą zieleń
tutaj: na Północy!
nie. Nie pojadą dalej. Widzą, tak, widzą mocniej (...)

3

Jest
jednak ten Szwed; wsiada; ostro wykręca od prawej

4

volvo:
Nierdzewny ze Wzmacnianej stali na Szyb-
kim podwoziu unoszący ich z miejsca, z zagłębienia trawy,
która
już przywykła do naszego ciała (chłodu
białych ścian) sama w pomnożeniu,
trwała,
skłonna w końcu ujawnić tajemnicę trwania, ale
zatrzymanym w miejscu.

* * *

Z Berta Moebego

Skąd jest to piórko z tą nikłą pozłótką,
czarne?

Z trafienia —
z chwili, gdy ptak długo spada przez bór
w nagłym słońcu.

Wnętrze

„wiesz, chciałbym zmierzyć długość promienia świetlnego
jakiegoś przedmiotu, wyrazić w znaku
i na tym poprzestać"

ociągając się uniosłem do ust filiżankę,
którą mi podał: choroba zmieniła go; wyczułem ten rozpad
skoro tylko wszedłem.

Potem pokazał album i patrzyliśmy długo bardzo na jedno z tych wnętrz Vermeera z Delft, gdzie samo światło tworzy ład wśród rzeczy.
Rozbudzone pragnienie czystości
przeniosło mi wzrok na widok poza oknem pracowni:

ogród już poszarzał, drzewa stały bez liści,
bez blasku swego, ale równania ich linii
warte były zapisu; chciałem mu powiedzieć,
aby tak zrobił, że to naprawdę dobry
temat

uchwyć w rysunku, w kresce spokojnej siłę napięć
w gałęziach, w gałązkach, szybkość ich
kierunków

kiedy poczułem, że coś w nim idzie
z dołu, by —
prosto spod ziemi chyba, od długich korzeni,

przez stopy, brzuch i
dalej — gęstą czarną falą uderzyć w podniebienie,

stanąć w ustach. Jak gdyby od zewnątrz
słyszę głos swój: „uważaj"

jego twarz jest skupiona
i blada;

przeciąga się chwila

* * *

Z Tomasza Crosby'ego

Ukrzyżowani na białym stole w dziurce od nosa
mają świat jaki ich dzięcioł do słuchu zbudzi
jaki las

Blady ogromny księżyc swą drugą odwrócił stronę
gdy biała siostra wiąże im ręce ach jak się boją
niklowych narzędzi

W Cleveland

Mówią, że
czuję

i że to sprawić miał w końcu White.
Jeśli chciał tego, to
dopiął swego: tak: chwytam „świat"
słowa chłód zapach

widzę
kobietę (na tle białej ściany), jej
sprawne ręce . . .

tak zaplanował. Tyle. Nic więcej.

Ciemne nasienie uchodzi ze mnie
i
bez rozkoszy.

W klinice przy Uniwersytecie Cleveland udało się po raz pierwszy dokonać transplantacji głowy.

Paź królowej

A również to, że ziarnko pyłku stokrotki
czy klonu
odznacza się zmiennością nieograniczoną,
zaś substancje wzrostu działają dla innej
harmonii —
nie jest korzystne dla ciebie.
Zostajesz odtrącony sprzed drzwi lasu
albo łąki.

Zadziwia fakt
jak bardzo strzeżona jest owa alchemia rozrostu
(i rozpadu). System zabezpieczeń cały jest
w zapadniach szybkich, hydraulice
i kratach;
tu działa siła
wielu atmosfer. Młot. Zazwyczaj jednak

szczują. Albo inaczej jeszcze: wchodzisz
i rozwalają cię
— na słupku
— w zalążni,
oblepionego jak pszczoła zapachem lata,

za przyzwoleniem całej łąki, w dzwonach
(usłyszysz je) z niezapominajek.

Uchwytne

. . . . . .
. . . obraz się zaciera. Czego się spodziewasz?

(ból)

przyjąć to
co uchwytne: ciągłość bólu w przerywanym rytmie,
p o t w i e r d z o n y ruch

. . .

znowu jesień. Dni są coraz krótsze
i lecą liście.

Z księgi Jozuego

I

„Panie, pozwól, że wezmę" — ale nie uderza jeszcze,
bo tamten jakby drzemał. Miasto stoi w swym świetle
stokrotne niby chwast.
„Panie, pozwól" — powtarza znowu Jozue;
cisza. I
ciemne spojrzenie Boga ogarnia stopniowo
dolinę. W koronkach wstaje wiatr. Tak, teraz się
to stanie.

Dopadam dołu
i szybko układam psalm o Bożej wspaniałości.

II

Po czwartej

zawrócili. W kierunku na Arkub
słychać jeszcze pomruk oddalającego się nieba;
zanika.
Zbocze stygnie powoli w cieniu,
jest cicho... to sprawia mi ulgę.

Nie wiem jak długo drzemałem. Wciąż jeszcze
trwa dzień. Na odległość ręki
widzę tego samego wciąż ptaszka
bardzo drobnego:
pleszka? mysikrólik?
podciągam się trochę bliżej. Nie sfruwa;
krwawi coraz mocniej.

* * *

ziemia; to ciało nagie. I pchnięcie. Ostrzem. Zaraz
nadejść powinna rosa, by uprać tę pościel (...)

dziwne; myśl o zbrodni i zacieraniu śladów nasunął ten
kiełek, pierwszy z bezmiaru roślin jednoliściennych,
które tu wzejdą.

Dla samego obrazu chyba,
dla ukazania swojej czystości.

* * *

i coraz częściej spoglądał na gałąź
za oknem:
Czy drgnie, nie ruszona?
gaśniemy w magii. Przyciąga znak, coś, co jest obok a
poza serią

— głos przycichł lekko;

nadchodził wieczór i mowa była o jakimś starcu
spod Engen; a potem długo mówiono o śniegu;
statek już wpływał w zakole fiordu i uniósł mi twarz
widok skały po lewej stronie: palonej ochry
z punktem bieli u szczytu jak
gniazdo;

b i e l: więc
śnieg? . . . i
stamtąd, nie s p o n a d jakby
zeszło wspomnienie: to styczeń już chyba; leżę, półsenny,
w pokoju na górze

i matka mówi, że wyzdrowieję.

III

W półśnie. Las

Niepodzielny ruch mrówek. Szuranie milionów:
od A
do A.

— Nie słychać.
— Bo trwa . . .

Człowiek się budzi, gdy ustaje
zegar.

Powrót

Nie zaszczekał. Uniósł tylko mordę o rok
bielszą.

*

Pchnąłem drzwi
i usiadłem przy oknie.

*

Niebo było wyższe, a wzgórza niższe.

*

Spływając w dół rzeki przeciągnęli tuż
obok: kręcili koła, rzucali jakieś słowa

znałem tylko typ czółna.

*

Przyzwyczaić się do jednego miejsca,
to poznać materię
od jej strony najcichszej.

*

Przyjąłem w spokoju gwiazdę wieczorną.

Tablice

tutaj się idzie i idzie

rzędy grobów, płyty, tablice. Taka ilość miesza.
A jednak napis: „Jan Zydorczuk" lub: „Marta Przysiężna"
zawsze stoi s a m. I na pierwszym miejscu.
Oni — każdy z nich,
choćby za życia żuł tylko i żuł — są zewsząd ważni.
A wszystko w zwykłości powszedniego dnia (ta
dosłowność gwizdu ptaka na wysokim świerku u końca
alei)

Schiller mówi jeszcze o woli. Ich obecność jednak
zmusza.
I forma ten stan wyraża.

Matka artysty

szarpnął tedy i wyszedł. Spojrzałem na nią: stała
odchylona do tyłu;
jej drobna pięść tłukąca o powietrze!
gwałtowni byli, gwałtowni oboje. Potem on się gdzieś uczył
i został artystą.

Wspominam tę scenę ilekroć patrzę na jego
obrazy. Ten sam ciągle temat: dziewiczy las o
purpurowych, ciężkich jak bochen liściach. Pośrodku —
konik. Sprężony
i fioletowy,
bijący o Ziemię, o Czerwień, kopytkiem!

Nad wszystkim: ciche, dopraszające się spojrzenie
i wpółuchylone drzwi; tak zapamiętał.

Przypowieść

puch, kłaczek z topoli

drobina waty odłączona od palców kobiety,
która ucieszona w sobie
że ustało krwawienie, podeszła do okna szeroko otwartego
na ogród

— powiada Moebe —

zbliża się do zwartej ściany innego drzewa, by
wessany przez kanalik powietrza, powstały z odgięcia się
linii,
ze szpary
pomiędzy dwoma liściami — przejść

po drugiej już stronie i wyżej
niecąc iskrę
łączącą się w tle ze wspanialszym jeszcze lśnieniem nieba!

Wykrojem, barwą, przez skojarzenia
zwraca na siebie uwagę rzecz, by p r z e t r w a ć
o mgnienie dłużej

w oczach Obserwującego.

Tren

Spośród form cichszych pamięta się zwierzę, kiedy
niszczeje.
W i e l k i e s p o j r z e n i e p s a
pod koniec, nim zdechnie, zalany własnym kałem
z powodu jelita, co pęka — od Koła.

Poniosłem go jeszcze.

Pamiętam: brama. Pusta jak niebo sala. I to: drobny
jakiś człowiek, jakiś biały fartuch
nad skórą psa
mówiący w zamyśleniu: „Kierowcy nie patrzą n a t o
i cisną na gaz"

nakrywamy szmatą, po czym wychodzę.

Litera

A. Konieczność przemiany . . .
B. pchnięcia.
A. Idzie o więcej:
pozwolić słupowi energii w słup-
ku czterolistnym wystrzelić mocno w błękit, zanim
w blade płatki nie osypie się krew,
a jednocześnie
hamować, wytracać go pomału, wytracać pęd,
do momentu,
kiedy na znieruchomiałej ziemi, w spokoju drzew . . .

*

tyle poeci; zostawmy. Stoimy nad wodą; pusto

tak, pięknie. Widać żabieniec: delikatna czerwień,
zieleń
mocna
zieleń
— drobne owocki ułożone w pierścień

Właśnie nadchodzi pora
i rozdziela je woda

czysta; wolno przytykam oczy:
widać
znaki
słowa
— nasionka płyną. Po pewnym czasie staną się cięższe, o-
padną na dno i zaczną kiełkować.

Trwa świat, powiadasz,
i przebija się pierwsza, nie nasza wciąż, litera.

Udział artystów

latami tracą. W kółko.

A jeśli osiągną, przychodzi to
gdzieś s p o z a
i ustala formę, nagłą, jak kropla

na płaskim liściu. Co w takim razie dają
oni?

W dzień pogrzebu swej matki Tadeusz pokazał mi
gipsowy odlew jej twarzy. Był jakby ciepły jeszcze
i zatopiony
w spokojnej wodzie

stawu; być może złudzenie to sprawiały
usta z tym tajemniczym uśmiechem zmarłych
na serce.

Na lewej skroni, na lekkim
szronie ujrzałem długi siwy włos
tej zmarłej.

Patrzyliśmy w milczeniu.

Uderzył mnie szczegół tej pięknej formy. Siwy włos
owej kobiety, a raczej blask wokoło niego (a może i
świat?)
jak gdyby p u l s o w a ł

na wyciągniętej dłoni kopisty.

* * *

Dotknąwszy jej —
trzymać.

W opuszkach
rozkwit! drobne
popychanki,
w opuszkach
młotki

Dotknąwszy —
trzymać.

W dotyku bowiem
cała
ciągłość rytmu,
cała
trwałość rytmu,
w dotyku tylko

Dotknąwszy tak —
trzymać.

Trzymając palec na główce
stokrotki
pragnę najpierw jednego

wyczuć jej
tętno,
stukanki (jej młotki)

Poznawszy już przedmiot,
zaczynam go malować

najpierw idzie Serce
potem idzie Głowa
potem wszystko inne.

Zamyślony

Po chwili coś cicho odpowiada w nas: „tak"

to dobrze. Istnieje zatem nadzieja,
że odgarniając miasta wielkie,
dym,wojny w powietrzu i wojny na lądzie
natrafi się, być może, na
miejsce, nazwijmy je: p u n k t, w obrębie którego
rzecz każda ma urok malarstwa niedzielnego:
liść
jest zielony, trzmiel fruwa, ludzie
rodzą się nadzy; i pachnie; wzruszają ponadto pytania
retoryczne:

Co to jest? (a to jest sutka)
Co to jest? (a to jest śpiew)

zresztą
to jeszcze nie oddaje sprawy.

I niewątpliwie
rację ma Bergson, kiedy przełamując opór
wysokiego (w stylu) kołnierzyka
powiada, nisko (ku mrówce?) nachylony:
w punkcie tym
znajduje się coś
prostego, coś
nieskończenie prostego, tak niezwykle prostego, że

Nakłada kapelusz i milcząc odchodzi.

Spis treści

Świadek 5
*** (Pola konwaliowe...) (Z *Berta Moebego*) 5

CHOWANKI

Wyspa Bienne 8
*** (Około południa...) 8
Widok z redy 9
Steichen 10
Głos przywołujący stary motyw 10
Człowiek z Portsmouth 11
Sollers 12
*** (A potem las...) (Z *Tomasza Crosby'ego*) 12
W Giarre 13
Kwiat 13
Prowadzony 14
*** (Obiecał...) 14
W drodze do Matarieh 15
Japońskie stolarstwo 15
Usłyszane w Gruzji 15
Mann. Późna nowela 16
Eco 17
Na nowo 17
Na miejscu otwartym 18
Stukanie 18
Benn 18
Na drzewo 20
*** (dużo żeglował...) 20
Ruszczyc 20
Okop 21
Chowanki 21

LITERA

I

Wydmy 24
Z Południa 24
*** (Wspaniała zieleń...) 25
Powiedzieć 26
Fotografia mężczyzny z mikroskopem 26
Forma przestrzenna 27
Głowa 27

Z łąki 28
Manson. Teatr 28
*** (Atakowany jednocześnie...) 30

II

Przez moment 31
*** (Skąd jest to piórko...) (Z *Berta Moebego*) 32
Wnętrze 32
*** (Ukrzyżowani...) (Z *Tomasza Crosby'ego*) 33
W Cleveland 33
Paź królowej 34
Uchwytne 35
Z księgi Jozuego 35
*** (ziemia...) 36
*** (i coraz częściej...) 36

III

W półśnie. Las 38
Powrót 38
Tablice 39
Matka artysty 39
Przypowieść 40
Tren 40
Litera 41
Udział artystów 42
*** (Dotknąwszy jej...) 43
Zamyślony 44

Printed in Poland

Zakład Narodowy im. Ossolińskich — Wydawnictwo. Wrocław 1977.
Nakład: 1500 egz.
Objętość: ark. wyd. 1,60, ark. druk. 3, ark. A1—1,5
Papier seledynowy kl. III, 70 g, 82x104.
Druk ukończono w sierpniu 1977 r.
Wrocławskie Zakłady Graficzne — Wrocław, ul. K. Wielkiego 39.
Zam. 1086/76 Cena zł 12.—

Cena zł 12,–